Nasza Magda (1 kwietnia 1941 - 6 marca 2012)

"Magda umarła", usłyszałam w przyłożonej do ucha komórce i przez moment pomyślałam: "Co? Co takiego zrobiła Magda...?..." Bo Magda była zawsze aktywna, nigdy bierna... "Magda powiedziała, Magda postanowiła, Magda uważa, Magda wie...", głośno i wyraźnie. Zdecydowanie. Tak to tak, nie to nie. Taka była nasza siostra Magda. Jak nasz ojciec. Uparta i kategoryczna. Tę jego cechę odziedziczyła z nawiązką. Więc nie "Magda nie żyje", ale "Magda umarła"... Nie "śmierć ją zabrała", ale "ona wyszła naprzeciw śmierci". A jeśli tak, to widać taka była jej wola. My, jej najbliżsi, siostry, dzieci, dzieci dzieci... jesteśmy w szoku, bo stało się to z dnia na dzień: w poniedziałek wieczorem poczuła się źle i trzeba było wezwać pogotowie, trafiła do szpitala, odesłała te kilka towarzyszących jej osób do domu, pożegnała się... A w nocy z poniedziałku na wtorek, we śnie, umarła.

Wierzę, chcemy wierzyć, że zrobiła jak chciała. Przez całe życie nie chorowała, temat chorób, lekarzy, przychodni, szpitali, aptek, lekarstw... u niej prawie nie istniał. W szpitalu była tylko wtedy, gdy urodziła swoje dzieci. Nie należała do tych starzejących się ludzi, którzy latami przerabiają etap kolejek do lekarzy, wystawań w aptekach, licznych leczeń, powrotów do zdrowia, ponownych chorób, pobytów w szpitalach i niekończących się rozmów o dolegliwościach... Nawet jeśli coś jej dolegało, np. podwyższone ciśnienie, traktowała to dyskretnie, nikogo tym nie zanudzając. Od jesieni czuła się wprawdzie gorzej i ograniczyła wychodzenie z domu - nie przyjmowała zaproszeń, nie zapraszała też nikogo, ale, wiadomo, zima, mrozy, lody, śniegi... - przecież nadal - swoim zwyczajem - z niezmienną regularnością odwiedzała swojego fryzjera dbającego o jej krótką rudą fryzurkę, nigdy nie widziałam jej nieuczesanej...

Urodziła się 1 kwietnia i tak coroczny prima aprilis obchodzony był w rodzinie szczególnie: wiosennie, hucznie, wesoło a zarazem odświętnie... Magda lubiła się śmiać, zresztą czy ktoś urodzony 1 kwietnia mógłby nie lubić? W zeszłym roku skończyła 70 lat, w życzeniach stu lat nie było dużo przesady, jedna z naszych ciotek (fakt, że ostatnia) ma lat 98 [1], czyta gazety bez okularów, do niedawna raz w roku wpadała z Cieszyna do Krakowa. Żeby odwiedzić rodzinne miasto, zrobić zakupy i spotkać się z nami. Dopiero od niedawna nie pozwala jej na to ból nóg. No, ale ma prawie 100 lat! Pamięta międzywojnie.

Młodość Magdy przypadła na przełom lat 50. i 60. (my, jej trzy młodsze siostry wchodziłyśmy w nasze lata młodości po niej). Młode dziewczyny tamtych lat zapatrzone były w śliczną Brigitte Bardot, niedościgniony wzór sex-appealu i wdzięku dla kobiet i nieosiągalne marzenie mężczyzn... Jej zdjęcia zdobiły ówczesne czasopisma i ściany w pokojach dziewcząt. Nasza Magda miała równie smukłe nogi jak BB, szczupłe kostki, kształtne łydki... i jak ona chodziła lekkim tanecznym krokiem w stukających po chodniku modnych szpilkach. Nosiła szałowe kloszowe spódnice, ściskające talię szerokie paski, obcisłe podkreślające sylwetkę sweterki... Niejeden mężczyzna obejrzał się za nią gdy przebiegała Plantami pod Wawelem, w pobliżu których mieszkaliśmy. Miała też zmysłowe "bardotkowe" usta. I burzę szaroblond włosów, które przeważnie upinała w wysoki starannie rozwichrzony kok. Nie malowała się przesadnie, kredka do ust, dyskretne podkreślenie oczu... To w zupełności wystarczało, żeby zapewnić sobie powodzenie u płci przeciwnej. Powodzenie miało zresztą swoje dobre i złe strony, nadmiar powodzenia nie sprzyja ustatkowaniu się.

W końcu jednak i Magda znalazła swój port. Wyszła za mąż, a ślub odbył się 1 kwietnia, w jej 30 urodziny. Pojawiły się dzieci. Było to w miarę dobre, spokojne, ułożone życie. Magda całe życie pracowała w biurze Zakładów im. Szatkowskiego (obecnie Zieleniewskiego), dbała o rodzinę i dom. Młodsze dziecko, syna, urodziła w styczniu 1982 roku. W stanie wojennym nie wpuszczono ojca dziecka do szpitala, w śniegu i mrozie, narażając się na przyłapanie przez ZOMO, wdrapywał się na siatkę ogrodzenia, żeby z daleka, choć przez szybę, rzucić okiem na świeżo urodzonego potomka. Kiedy 14 lat temu Magda została nieoczekiwanie przedwcześnie wdową z ledwie dorosłą córką i dorastającym synem, przeżyła wstrząs.

Nie przestała jednak dbać o siebie i swoje 3-pokojowe mieszkanie na 10 piętrze w bloku z widokiem na cały Kraków. Wymieniała meble na nowsze, modne, kupowała nowoczesne urządzenia, robiła remonty. W jej domu był

zawsze porządek, nigdy nie zaniedbywała ani siebie, ani mieszkania. Częste wizyty u fryzjera, tęższa ale nadal zgrabna prosta sylwetka, niezmiennie piękne nogi, energiczny krok, donośny głos. Lubiła zrobić wszystko co trzeba i zapalić sobie spokojnie papierosa, lub sięgnąć po czekoladkę, czytać książki, rozwiązywać krzyżówki. Najchętniej oglądała publicystyczne programy, myślała nowocześnie, choć nie zawsze logicznie, gdy jednak przyłapać ją na tym, machała ręką "a dajcież wy mi wszyscy święty spokój!", wykrzykiwała. Miała w sobie coś władczego. Być może geny naszej prababki-ponoć-hrabiny [2]. Gdyby urodziła się królową, rządziłaby surowo, ale sprawiedliwie, każdy miałby prawo do nieodpłatnego korzystania z taksówek, swojego osobistego fryzjera i zagwarantowany konstytucyjnie święty spokój. Trudno wyobrazić ją sobie jako staruszkę. I już nie trzeba.

PS. Prawdę mówiąc był z niej kawał cholery! Ostatnie słowa, jakie powiedziała do swoich dzieci w szpitalu, już tuż przed północą, to rozkazującym tonem: "A idźcież już!" A tak "hukła", jak opowiadają, że "aż lekarz się wzdrygnął"... Dlatego tym bardziej nikt się nie spodziewał, że tej nocy umrze... Z taką mocą w głosie?

* * *

Tekst napisany dla Gazety Wyborczej w dzień po śmierci Magdy ukazał się 20 marca 2012, w dzień Jej pogrzebu. Wspomnienie jest też na www.parnas.pl